

Sperrfrist Redebeginn
Es gilt das gesprochene Wort



Verleihung des Internationalen Karlspreises zu Aachen 2010

an den

Premierminister der Republik Polen
S.E. Herrn Donald Tusk

Dankesrede von Premierminister Donald Tusk, polnisch

Stoję dziś przed Państwem, ponieważ uznaliście, że moja biografia służy „wolności i demokracji”. Uznaliście, że jestem „przekonanym i przekonującym Europejczykiem”. I – co dla mnie jest być może najważniejsze – uznaliście, że uosabiam „solidarność i Polskę otwartą na świat, mocno osadzoną w rodzinie narodów europejskich”.

Kiedy czytam te słowa i patrzę na listę laureatów nagrody Karola Wielkiego, do której zechcieliście dołączyć także moje imię, odczuwam dumę. Ta duma – nie mówię o mojej osobistej satysfakcji – wynika z faktu, że stąd, z Akwizgranu, jednej z symbolicznych stolic kontynentu, po raz kolejny dostrzeżliście, że doświadczenie, które było naszym udziałem, przybliży Europę Europejczykom.

Urodziłem się w 1957 roku, niespełna miesiąc po tym, jak w Rzymie podpisano znane traktaty, ustanawiające Europejską Wspólnotę Gospodarczą, które stały się fundamentem integracji europejskiej. Mogę więc powiedzieć, że jestem niemal rówieśnikiem Unii Europejskiej.

Urodziłem się w Gdańsku, mieście, którego historia, zwłaszcza ostatniego stulecia, stanowi lekcję dziejów powszechnych. Tu rozegrały się wszystkie ważniejsze dramaty, które ludzkość przeżyła w XX wieku. To właśnie taki Gdańsk jest moją „rodziną” Europą.

Z poddasza domu, w którym mieszkałem, można było obserwować pracę dźwigów stoczniowych, piękny stary dworzec kolejowy, a dalej wieże Kościoła Mariackiego i Ratusza. W

najbliższej okolicy było siedem cmentarzy, do których wiodły ścieżki wyznaczone przez wiekowy żywopłot, ślad botanicznej fantazji i rozmachu dawnych gdańszczyzan. Na grobowcach i nagrobkach z trudem odczytać można było nazwiska i epitafia, głównie niemieckie, ale też polskie, rosyjskie, a nawet ze wschodnimi półksiężycami. Jeden z cmentarzy, pielęgnowany i strzeżony, zapełniony był setkami grobów bez krzyży i nazwisk, tylko z gwiazdami i numerami. Pochowano tu żołnierzy Armii Czerwonej, którzy polegli przy zdobywaniu Gdańska w 1945 roku.

W latach mojego dzieciństwa ślady wojny były w mieście jeszcze świeże: ruiny, leje po bombach, lizaje po kulach na tynkach kamienic. Wiele ulic odbudowano i budowano, co przecież też było konsekwencją nie tak odległego w czasie kataklizmu. Co rusz natrafialiśmy jednak na ślady innej epoki: jakieś monety z rybą lub żaglowcem, naczynia z gotyckim napisem „Salz”, guziki od mundurów żołnierzy nieistniejących armii. Ale, tak naprawdę, od tamtej epoki, z której pochodziły te przedmioty, dzieliła nas wieczność.

Pewnie wtedy, gdy szedłem do szkoły lub do sklepu, mijając raz ruiny, a czasem stare domy i kamienice, nie wiedziałem, że to moje miejsce na Ziemi przesiąknięte jest starą historią, która czyniła nas obywatelami długiej tradycji, a nie tylko mieszkańcami jednego z miast. Znacznie później przyszło mi zrozumieć do jakich fenomenów europejskich sięga ta tradycja.

Zaczynałem to rozumieć, kiedy czytałem u francuskiego historyka Ferdynanda Braudela, że w XVI i XVII wieku „to miasto – położone między szerokim światem a bezmiarem Polski – jest, jeśli nie jedyną, to w każdym razie najdonioślejszą bramą dla obu kierunków handlu, wwozu i wywozu”.

Zaczynałem to rozumieć, kiedy brytyjski historyk Norman Davies opisywał Gdańsk jako „ruchliwe mrowisko pracy, dobrobytu i kultury”, co było „zjawiskiem dobrze znanym we Włoszech czy Niderlandach, lecz absolutnie niespotykanym w Polsce”.

Podobnie było przy lekturze wspomnień Joanny Schopenhauer, matki filozofa – obydwójce urodzili się w Gdańsku. Trudno czytać bez emocji te strony, przesycone sentymentem i przywiązaniem do Polski. Pod jej piórem Gdańsk jawi się jako „częsteczka Zachodu powiązana z Polską realnymi interesami, a jednocześnie oko Zachodu patrzące na nią z bliska od kilkuset lat” (K. Brandys).

Nieświadomie zwiedzałem tropy tej starej i długiej tradycji podczas spacerów w oliwskim parku, do którego nierzadko prowadziła mnie mama, a który nosił już wtedy imię Adama Mickiewicza, wielkiego poety polskiego romantyzmu. Chodziłem po śladach i wśród pozostałości średniowiecznej cywilizacji cysterskiej, o której historycy powiadają, że zasięg jej ośrodków pokrywa się z granicami Europy.

Zastanawiałem się nie jeden raz, jak to się stało, że nazizm i komunizm nie zdołały wydziedziczyć nas z Europy. Wydawać by się mogło, że na swoją obronę mieliśmy tak niewiele: zrujnowane cmentarze, cień wielkiego gotyckiego kościoła, bicie dzwonów na ratuszowej wieży...

Mieliśmy jeszcze coś, co ktoś pięknie nazwał skromną dostojnością obyczajów. W moim wypadku były to niedzielne wyprawy z rodzicami do cukierni, podejmowane wbrew szarości i biedzie dnia powszedniego. W mojej rodzinie było to wspólne muzykowanie przy okazji świąt, co – jak się później dowiedziałem – praktykowano (a może praktykuje się do dzisiaj?) w Trieście, Monachium czy Utrechcie.

Taka Europa była w nas, a przynajmniej była w nas wierność marzeniu o Europie. Może rację ma Ortega y Gasset, który pisze, że wyjątkowość Europy polega na głębokim poczuciu historyczności, dzięki któremu ma ona swoją organiczną ciągłość i tożsamość. Dzięki temu, że jest wspólnotą współpracy i konfliktów, wymiany i obyczajów, a nie wytworem ideologów, może opierać się właśnie ideologiom, nawet tym, które – jak nazizm i komunizm – wyrosły z europejskiego ducha, ale ostatecznie nie były w stanie go zdeprawować.

Jednak takie ideologie musiały odcisnąć ślad na europejskiej tożsamości. Może dotyczy to zwłaszcza tych połaci kontynentu, które z powodu różnych racji historycznych i geograficznych mają charakter pogranicza. Komunizm bez wątplenia wzmocnił tu pewien rodzaj podwójnych uczuć: czujemy się w Europie zarazem tubylcami jak i cudzoziemcami, że odwołam się do polskiego noblisty Czesława Miłosza.

Ale może jest tak, że Europie potrzebni są tacy Europejczycy, dla których jest ona zarazem ojczyzną i zagranicą, czymś swoim i czymś obcym. Może z takich relacji i napięć wyrasta wspólnota coraz lepsza i bardziej ludzka.

Być może wszystko to w jakiejś mierze złożyło się również na genezę Sierpnia 1980 roku w Gdańsku. Epopeja Solidarności jest nie tylko fragmentem mojej biografii. Wydarzenia, o których będę mówił składają się bowiem na zbiorową biografię pokolenia, które współtworzyło ten wielki ruch społeczny, dzięki któremu rozpoczął się upadek komunizmu, dzisiaj wiemy także, że był to pierwszy krok na polskiej drodze do Europy i naszej obecności w Unii Europejskiej.

Sierpień 1980 roku zaczął się w Gdańsku, w stoczni im. Lenina. Historia przystanąła wtedy nad brzegiem Bałtyku, a moje miasto użyczyło swojego krajobrazu za tło wielkiego strajku.

Ale Sierpień zaczął się w Gdańsku dziesięć lat wcześniej. To pozorny paradoks. Wybuchł wtedy robotniczy protest przeciwko podwyżkom cen, zwłaszcza żywności. Miałem czternaście lat, więc byłem wystarczająco dorosły, by rozumieć, co się wokół mnie dzieje. Widziałem wówczas sceny, które uformowały mnie na całe życie.

Tysiące demonstrantów śpiewających „Warszawiankę”, płonący Komitet partii komunistycznej, milicjanci bijący kogo popadnie, strzelający do tłumu i przez ten tłum rozszarpywani. Wszystko to było jak z czytanek o rewolucji. Dobrzy robotnicy i zła władza. Równość, braterstwo,

rewolucja. A równocześnie uczucie wielkiego strachu i radosnej euforii. Czułem z tymi ludźmi absolutną i bezwzględną solidarność.

Radykalizmu nauczyliśmy się na ulicach, a demonstracje, niezależnie od ich tragicznego żniwa, były dla nas młodych świętym czasem. Z tego misterium wyszliśmy jakoś bogatsi, dostrześliśmy mianowicie, że istnieje coś bardzo ważnego: przestrzeń publiczna, w której dźiać się mogą sprawy porywające. W tych dniach nikt nie miał wątpliwości, po czyjej stronie jest racja. Zdolność rozpoznawania dobra i zła w publicznej przestrzeni – to jedno z najważniejszych grudniowych doświadczeń.

Takich rzeczy się nie zapomina. Kto przeżył Grudzień w Gdańsku, mając kilkanaście lat, kto widział czołgi na ulicach i zalew kłamstw w gazetach, ten dojrzał politycznie bez porównania szybciej niż rówieśnicy pozbawieni podobnych doświadczeń. Pamiętam napis wypisany niezdarnymi literami na murze, którego sens zrozumiałem dopiero później: Katyń! Był dziełem siedemnastoletniego Arama Rybickiego, potem działacza opozycji demokratycznej, a w wolnej Polsce posła na Sejm i mego przyjaciela. Zginął on tragicznie miesiąc temu w katastrofie pod Smoleńskiem.

Ale tamto doświadczenie miało także inny wymiar edukacyjny. Zapamiętaliśmy, że konfrontacja uliczna, nawet najgwałtowniejsza, może być przegrana, że przemoc rodzi przemoc. Dlatego w etos gdańskiego buntu w 1980 roku wpisane były odpowiedzialność, organizacja i silne przywództwo. One stworzyły mocne ramy dla emocji i dały nam wszystkim głębokie poczucie sensu walki, wizję wygranej. Dojrzewaliśmy.

Sierpień i Solidarność stały się moją ojczyzną. To był początek wielkiej zmiany i końca komunizmu. A nazywając rzecz dokładniej: pierwszym akordem tej zmiany był rok 1980, drugim 1989.

Wtedy wszystko było proste. Szliśmy do Solidarności jak do powstania narodowego. Byliśmy przekonani, że mamy wręcz do czynienia z pierwszą od pokoleń zwycięską insurekcją. Zwycięską, bo zdolną do samoograniczenia, czyli łączenia odwagi z rozwagą, co stanowi od wieków zasadę postępowania mego rodzinnego miasta.

W sierpniu staliśmy się wewnątrznie niepodlegli. Kto był pod bramą strajkującej stoczni, ten nie zapomni uczucia wyzwolenia, które dodawało sił i czyniło być może lepszymi niż zwykle jesteśmy. Zniewoleni wstali z kolan i wysoko podnieśli głowy domagając się swoich praw. To był tryumf obywateli w nas samych (w naszych umysłach i sercach) nad poddanymi państwa komunistycznego. Słowa odzyskały wtedy godność i przestały być podejrzane. Mowa jasna zwyciężyła nad kłamstwem. Na naszych oczach dokonała się nieoczekiwana i niespotykana rewolucja etyczna. Nikt nie miał wątpliwości, że właśnie w Gdańsku spełnił się akt zapowiedziany przez Jana Pawła II podczas jego pierwszej wizyty w Polsce. Tak, w Gdańsku odnowiło się oblicze mego kraju.

W ten sposób rozpoczęła się dekada, której finał w 1989 roku przyniósł wolność krajom Europy Środkowej i zjednoczenie Niemiec.

Solidarność swoim impetem uruchomiła olbrzymi proces politycznego dojrzewania społeczeństwa. Okazała się pokojową rewolucją polityczną, wolnościową i antytotalitarną, o której mogłem wcześniej tylko marzyć lub ... czytać. Teraz na naszych oczach spełniały się słowa Hannah Arendt o szczęściu publicznym, które odkrywały minione pokolenia. W sierpniu odkryliśmy je dla siebie. Szczęście publiczne stało się wtedy udziałem milionów Polaków. Jego źródłem było niezwykle w swej mocy poczucie uczestnictwa w czymś bardzo ważnym, wielkim, bliskim cudu jak owocowanie drzewa owocowego w zimie.

Połączeni więzami Solidarności wybraliśmy nowych strażników naszej przyszłości z Lechem Wałęsą na czele. Mówiliśmy wtedy: wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, powtarzaliśmy słowa o jedności w różnorodności, nie wiedząc nawet, że taka jest dewiza wspólnoty europejskiej.

Jeśli Solidarność była ojczyzną to Gdańsk w sierpniu 1980 roku stał się agorą. Ktoś zafascynowany starożytnymi Grekami, jak ja, z łatwością mógł dostrzec niejedną analogię. Nie wiem, czy strajkujący przypominali Ateńczyków z czasów Peryklesa, ale byli podobnie jak oni zatroskani nad wspólnym dobrem i przyszłością polis. Odzyskana wolność uobywatelniała każdego. Agora powstawała w halach hutniczych i zajezdniach tramwajowych, zakładach pracy i uniwersytetach, wszędzie tam gdzie spotykali się ludzie, by przywrócić elementarny sens pojęciu demokracji. Jej reguł uczono się w ruchu, lecz bez trudu odnawiano tradycję „rządów ludu przez lud dla ludu”. I tych ideałów nie pozwolono już sobie odebrać, mimo stanu wojennego, aresztowań i represji. Odmówiliśmy prawomocności staremu porządkowi.

Za sprawą Solidarności powróciliśmy do Europy wolnych i demokratycznych narodów. Solidarność stała się zarazem nowym doświadczeniem europejskim. W 1989 roku dokonało się pierwsze symboliczne zjednoczenie naszego kontynentu, bo upadła „żelazna kurtyna”. Drugie, rzeczywiste dokonało się piętnaście lat później w 2004 roku.

Nasze pokolenie miało szczęście. Żyjemy w niezwykłych czasach. Mamy za sobą racje moralne i wielkie polityczne marzenia. Udało się. Osiągnęliśmy to, czego oczekiwały również wcześniejsze pokolenia. Można powiedzieć, że to wszystko stało się tak nagle, a zarazem jakby zwyczajnie...

Odnajdujemy się dzisiaj w Europie wielkiego eksperymentu społecznego i politycznego. Odważnie i z rozwagą podejmujemy próby zbudowania pewnej całości – której kształtu jeszcze nie znamy - nad wielością państw, narodów, języków i religii. Ale pamiętamy, że nasza idea Europy wyrasta z odwiecznych marzeń o wspólnocie wolnych narodów i braterstwie wolnych ludzi.

Moje słowa kieruję do tych wszystkich, którzy twierdzą, że dla Europy nadeszła „godzina półmroku”, by posłużyć się słynną metaforą Ortegi y Gasset. Niejeden nawet sądzi, że wszystko stało się przedmiotem wątpliwości, a „godzina półmroku”, o której wspomniałem, zapowiada nieuchronnie zmierzch. Jestem odmienniego zadania. Uważam bowiem, że mamy do czynienia z czymś, co na pewno nie zapowiada agonii. Trudno zresztą wskazać przykład, by jakakolwiek forma życia zbiorowego umarła na atak wątpliwości, jak powiada hiszpański myśliciel. Natomiast zdarza się, że upadły one z powodu sklerozy, zwłaszcza wtedy, gdy zapominały o wartościach i regułach, które złożyły się na akt ich fundacji. Moim zdaniem „godzina półmroku”, którą przywołałem, poprzedza chwilę przed brzaskiem. Stronnictwu zmierzchu przeciwstawmy więc stronnictwo brzasku, którego dewizą niech pozostanie Europa jako norma, wspólnota jako reguła, wolność i solidarność jako zasada. To nasz drogowskaz. Europa wcale nie gaśnie. Obecny kryzys to dobry moment, by wzmocnić i rozwinąć model europejski. Wykorzystajmy więc okazję, by obwieścić, że oto wybiła godzina Europy.

Pojęcie Europy – mówią o tym poeci, historycy, filozofowie – jest pojęciem pozbawionym precyzji, chwiejnym, a chwilami niedookreślonym. Ale budzi jednoznaczne skojarzenia i przyspiesza bicie naszych serc.

Pozwólcie Państwo, że pokojową nagrodę Karola Wielkiego za rok 2010, którą dzisiaj odbieram jako premier polskiego rządu, dedykuję mojemu pokoleniu, pokoleniu Solidarności, a w szczególny sposób wszystkim ofiarom katastrofy samolotowej pod Smoleńskiem.